Przyjaciel Dzieci

Ilustrowane pisemko dla dzieci.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca. :-: Za redakcyą odpowiedzialny S. A. Ludwiczak w Pniewach (Pinne Bez. Posen). :-: :-:

„Dopuście dziateczkom przychodzić do mnie.“

:- Dodatek bezpłatny -: „Dziennika Berlińskiego“

No. 5 Dnia 1-go czerwca 1914 Rok I

NIE BOJĘ SIĘ NIKOGO.

Gdym spełnił powinność moję,
To nikogo się nie boję;
Idę, śmiało patrzę w oczy,
Kto nie taki, niech mi zboczy.

Przejdę lasy, przejdę góry,
Nie lękam się czarnej chmury;
Czy śród ognia, czy na rzece:
Bóg niewinnych ma w opiece.

Wesół śpiewam piosnkę moję
I nikogo się nie boję;
Czy dniem idę czyli nocą.
Bóg mi zawsze jest pomocą.

Kiedy złego mijam człeka,
To odemnie sam ucieka,
Bo wyczyta z mego oka:
Że mnie chroni Pan z wysoka.

Trzaska piorun, a ja stoję
I niczego się nie boję;
Pan Bóg zechciał, to ja żyję,
Zechce Pan Bóg, to zabije.

Niechaj będzie wola Boga;
O! ja nie znam co to trwoga,
Idę śmiało, śpiewam sobie:
Wielki Boże! Chwała Tobie!

Jachowicz.

Jak to z lnem było. (Bajka).

Jednego ranka spojrzy, aż tu pole, jak długie i szerokie, niebieszczy się tak, jak to niebo nad ziemią. Kwiatuszek koło kwiatuszka na łodydze sterczy, aż się w oczach od tego modro robi, jakby w wodę patrzał.

Zadziwił się król, wąsa szarpnął, iż tak złoto modro kwitnie, cały dzień frasobliwie po komnatach chodził, wieczerzy jeść nie mógł i markotny spać się układł. A rankiem uderzy się w czoło i mówi:

— O, ja głupi! Wszakże to nie kwiat, ale nasienie będzie samo złoto! Czegożem się wczoraj frasował?

I począł dobrej myśli być, ucztę panom swoim sprawił i radowali się wszyscy, że król tak mądrze im to wyłożył o nasieniu owem, co złotem być miało, i tak wszyscy cieszyli się społem.

Przeszło lato; z kwiatuszków owych modrych porosły główeczki, takie okrągluśkie. Król idzie w pole, bierze w palce, ogląda i myśli:

— Już też w tych główeczkach napewno złoto jest; tylko patrzeć, jak się to posypie.

Przyniósł jedną, patrzy, aż tu takie samo siemię, które siał. Rozgniewał się król bardzo, dwór cały zwołał, kazał to zielsko z wielkiej złości z całego pola wyrwać, kijami zbić, że to mu takiego wstydu i zawodu narobiło i do wody cisnąć. Pachołkowie rozkazanie królewskie wypełnili, łodyżki co do jednej wyrwali, kijami zbili, aż się ono nieszczęsne ziarno posypało, w pęki powiązali i do wody wrzucili. Ale, że już ich samych złość wzięła, więc jeszcze w wodę kamieniami ciskali i tyle tego narzucali, że się one łodygi w pękach zastanowiły, z wodą nie poszły i u brzegu przywalone kamieniami zostały.

Król tymczasem po całym świecie szukać kazał owego kupca, żeby go stracić za ten postępek, że to takiego monarchę poważył się oszukać.

Tak szukają owego kupca, tak szukają — nic.

Król też znów smutny począł bywać, jako i na początku i nieraz sam bez dworu w zamysłach różnych chodził, trapiąc się, że ludu swego nie mógł zbogacić. Idzie on raz brzegiem rzeki, patrzy, kamieni wielka moc, a z pod nich coś sterczy! Zawołał pachołka, w wodę mu kazał iść i czeka.

Niedługo pachołek wraca i powiada:

— Królu — panie! Toć to jest ono zielsko, co miało złoto rodzić i z pola wyrwane zostało.

A król:

— Jeszcze mi na oczach będzie to podłe zielsko leżeć? I mój wstyd przypominać? Weź mi je zaraz, wynieś precz, żebym go więcej nie spotkał.

Ano poszedł pachołek po drugiego, one kamienie odrzucili, pęki łodyg przegniłych z wody wydobyli, wynieśli je het pod las, cisnęli i poszli.

A król ciągle się frasował, to tu, to tam, jeździł po kraju, a co spojrzy na ten biedny naród, co koszuli na grzbiecie nie ma, to się omal łzami nie zaleje, że takie litościwe miał serce.

Ano widzą panowie, że król taki smutny, to rada w radę, uradzili, żeby wyprawić wielkie polowanie.

Zjechali się różni książęta, różni panowie, dostojni goście, nasprowadzali psów, koni, masztalerzów, psiarków, łuczników, naprzywozili łuków i różnej broni takiej, że to ha! różnych rarogów, dojeżdżaczy, sokolników; polowanie takie, że to na całe królestwo sławne. Ucieszył się król tym widokiem, rozweselił, o strapieniu swojem coś niecoś wspomniał, bronie różne czyścić kazał, sfory ogarów sforować, charty na smycze brać, konie kulbaczyć, wozy pod zwierzynę zaprzęgać, aż uderzyli trębacze w rogi łosiowe, psiarnie zaczęły ujadać, bicze ino świstały w powietrzu. Tu się sokoły na całe gardło drą, tu pisk krzyk, wrzawa taka, że to, jak na największym jarmarku.

Aż wsiadł sam król na konia, po bokach mu książęta i wielcy panowie — pojechali.

Jadą, jadą, przyjechali pod las, dziwują się goście, że taka knieja gęsta, pewno i zwierza pełno bo się ino psy rwą, ino konie parskają, kiedy wtem spojrzy król w bok, jakoż na polanie leżą one pęki łodyg, przez pachołków z wody wydobyte, wyschłe, wymizerowane, zczerniałe.

Król zapalił się gniewem na twarzy, humor mu się odrazu przemienił, zawraca konia, przeprasza gości i napowrót na zamek jedzie. Łowczemu przykazał wracać z końmi, wozami i psiarnią, a na pachołki swoje krzyknął:

— Hej tam! zabrać mi to przeklęte zielsko i omłócić kijami, żeby aż z niego paździerze poszły!

I z wielką pasyą do domu wracał, a z nim goście jego. A pachołki tymczasem, one pęki łodyg porwawszy, zaczęli je

kijami okładać, tak, że z nich paździerze leciały. Naleciał tych paździerzy okrutny pokład, a łodygi aż pobielały, jak z nich ta pierwsza surowizna zeszła. Potem one łodygi rzucili na rozstaje, na krzyżową drogę, żeby je słońce paliło, wiatr je plątał, ale ich roznieść nie mógł, bo za wielka moc tego była.

Po niejakim czasie król zapomniał o swem strapieniu i wybrał się ze swoim dworem w drogę.

Na siwym koniu jechał, a zaś rycerze i dwór i pachołki i różna czeladź zwyczajnie, jak to się należy do królewskiej wspaniałości i osoby.

Jadą, jadą, przyjechali na rozstajne drogi, a tu koń, co pod królem szedł, dęba stanął. Ściągnął go król raz i drugi, koń szczupakiem chlusnął przez drogę w bok i, zaplątawszy nogi, niewiedzący jak, na ziemię runął.

Uskoczy król, strzemię z nogi zrzuciwszy, ale się okrutnie przeląkł. Zaraz tu nadbiegli rycerze i słudzy, patrzą, w co się królewski koń wplątał, a to w te łodygi co je pachołki na rozstaju rzuciły. Król, jak był blady ze strachu, tak się zrobił czerwony od gniewu, czeladź swoją skrzyknął i kazał precz do trzeciej skóry owo zielsko kijami zbić, a potem w ogniu spalić.

Czeladź zaraz się do kijów porwała, one łodygi do trzeciej skóry obiła, tak, że same włókno cienkie i, jak srebro takie bielusieńkie, zostało i dalej nosić na kupę, żeby spalić.

Patrzał na to wszystko król razem z dworem swoim, aż kiedy czeladź głownie zapalone pod włókna podkładać miała, przyleciał pachołek i krzyknął:

— Królu — panie! Znaleźliśmy tego kupca, któregoś nam szukać rozkazał.

A tuż zaraz prowadziły straże onego starca związanego przed oblicze królewskie. (Dokończenie nastąpi).





Jak w Polsce synowie czcili rodziców.

Nie ma zapewne dziecka polskiego, któreby nie znało dwóch pięknych pieśni nabożnych, zaczynających się od słów „Kiedy rannę wstają zorze“ i „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Te dwie pieśni, jako też wiele innych, ułożył Franciszek Karpiński, który się urodził 1740 r. we wsi Hołoskowie, a umarł w Chorowczyźnie na Litwie 1825 r.

Karpiński w młodości płatał nieraz figle. Małej siostrze wziął krzyżyk bursztynowy i sprzedał za kwartę jagód, a później ukradł nożyk wieśniakowi. Gdy się o tem ojciec dowiedział, rozkazał, aby ów wieśniak wyliczył 10 batów Franusiowi. Wdzięczny syn, opisując w późnej starości to zdarzenie, nazwał rękę ojca świętą, że karała drobne przewinienia.

Ukończywszy szkoły, przybył Franciszek do domu rodzicielskiego. Dawniej w Polsce panowało takie uszanowanie dla rodziców, że w ich obecności nie było wolno usiąść bez pozwolenia, a tym więcej stać do nich tyłem, choćby nawet oprzeć się o ścianę. Młody Karpiński przestrzegał uważnie tych przepisów, a wtem ojciec bez żadnej przyczyny w twarz go uderzył. Syn milczał pokornie, spuściwszy oczy ku ziemi.

Rozrzewniony ojciec zawołał: „Synu mój, jam prostak, bo tylko umiem czytać i trochę pisać, a tyś uczony. Doświadczyłem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od twego ojca, a że jesteś skromny i pokorny i ponieważ czcisz twego ojca, niech ci Bóg błogosławi!“

Spełniło się to błogosławieństwo, gdyż Karpiński, dorobiwszy się usilną pracą i oszczędnością znacznego majątku, dożył w dobrem zdrowiu sędziwego wieku, liczył bowiem przy zgonie przeszło 84 lata.

Piotruś i wróble.

Piotruś, chłopiec wiejski, schwytał raz kilka wróbli, a nie mając ich gdzie podziać, wsadził je pod kapelusz, który miał na głowie. Spotkał go przechodzień i rzekł, uchylając czapki: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a gdzie to droga do Jędrzejowa?“ Piotruś powinien był zdjąć z głowy kapelusz i ukłonić się, ale nie uczynił tego z obawy, aby mu wróblę nie

uciekły. Był przytem tak niegrzeczny, że nawet odpowiedzi żadnej nie dał. Przechodzień pomyślał sobie: a to jakiś brutal i poszedł dalej.

Niezadługo potem spotkał Piotrusia wójt, którego jako pierwszego urzędnika na całą okolicę każdy przy spotkaniu z uszanowaniem witał. Ale chłopak, z obawy o wróble nie ukłonił się.

Widząc to wójt, rzekł do woźnego, który szedł tuż za nim: „Zobacz jeno, czy mu tam czasem kapelusz do włosów nie przylgnął?“

Przystąpił tedy woźny do Piotrusia, mówiąc: „Pan wójt chciałby się przekonać, jak twój kapelusz wewnątrz wygląda. Podajże, mi go!“

Piotruś wzbraniał się i mruczał coś pod nosem. Zniecierpliwiony woźny zerwał mu kapelusz z głowy, a wróble rozleciały się na wszystkie cztery wiatry. Śmiał się wójt, śmiał się i woźny, a gdy się rzecz rozniosła po okolicy, śmiali się z Piotrusia wszyscy.

BASIA.

Cóż to się stało Basi? Jakaż widzę zmianę?
Jej nosek napuchnięty, oczki zapłakane,
A pod noskiem plasterek. Cóż to wszystko znaczy?
Cóż niezwykła spokojność Basi wytłumaczy?
Zwyczajnie różne chodzą po ludziach przypadki;
Basia nie chciała słuchać przestróg dobrej matki.
To się cała kręciła jakby na sprężynce,
To znowu dziwnych zabaw chciało się dziewczynce;
Wszędzie jej było pełno, hałas w całym domu,
I na chwilkę spokoju nie dała nikomu.
Póty dzban wodę nosi, aż się urwie ucho;
Rzadko zbytnia swawola uchodzi na sucho.
Poznała to Basia, ale po niewczasie,
Stół obalony z lampą pokaleczył Basię.

ROZMAITOŚCI

A do jamy lisie! (Zabawa).

Wszyscy grający, zrobiwszy z chustek pytki, wybierają z pomiędzy siebie jednego za „lisa“ i wskazują mu miejsce „jamę“, gdzie będzie zupełnie bezpiecznym od ich razów.

Po chwili wyskakuje lis z jamy, a chromając i wołając: „Lis idzie!“ stara się jednego z grających uderzyć pytką, aby się pozbyć swej roli.

Każdy jednak unika starannie uderzenia i uważa, ażeby lis drugą nogą nie dotknął ziemi, wtedy bowiem wszyscy, bijąc pytkami i krzycząc „a do jamy lisie!“ zapędzają go do legowiska, skąd znowu po chwili odpoczynku wyskakuje, zapowiadając swe wyjście wołaniem. Schwytany przez lisa staje się lisem, a dotychczasowy lis przyłącza się do reszty grających!

Do naszej ryciny:

Obrazek przedstawia śmierć męczeńską św. Wojciecha w roku 997. Jego zwłoki spoczywają w kościele katedralnym w Gnieźnie.

Zagadki dla dzieci maleńkich.

I.

Nosi kapelusz, przestronny srodze,
Żyje bez głowy, na jednej nodze
I swojem ciałem, ludzi częstuje;
Jeden pokrzepi, inny otruje.

II.

Latam w lecie, niknę w zimie,
Budzę tego, który drzemie,
Lubię w mieście, na wsi wolę,
Nieraz topię się w rosole.

III.

			1)	2)		
			a	a		
			a	a		
1).	a	e	e	h	h	k
2).	k	n	n	n	n	r
			s	s		
			y	y		

Przestaw głoski tak, żeby oznaczały:

1. owoc
2. imię męskie.

Drukiem i nakładem: Dziennika Berlińskiego.
Adres Redakcyi: Przyjaciel Dzieci, Pniewy (Pinne i. P.)